

GAZETA KRAKOWSKA

ul. Wielopole 1

31-072 Kraków

1 9^{ty} 4

z dn.

1 9 - 08 - 86

N „OD PIĄTKU DO PIĄTKU”

665

OKOLICE TEATRU

Trwa come back jednej z najpopularniejszych sztuk międzywojennego dwudziestolecia: „Gałązki rozmarynu”. Po Łodzi, która jeszcze w 1982 r. wyskoczyła z premierą — czym przerwała czterdziestotrzyletnią nieobecność tego utworu na naszych scenach — i wykorzystła do tego odważnego na owe czasy kroku intencje i wiatry poprzedniego sezonu — naprzód ruszyła się Warszawa, a zaraz potem, w parę dni zaledwie — Kraków. Może zresztą było odwrotnie — głowy za to nie dam. W Warszawie wystawił „Gałązkę” (we własnej reżyserii) Ignacy Gogolewski, w Krakowie (ditto) Brunon Rajca. Charakterystyczne, że właśnie ludzie o lewicowej przeszłości i poglądach biorą się za utwór, który zawsze niezależnie od intencji, jest i być musi apologią Piłsudskiego. Hymnem pochwalnym na cześć Legionów. Dziełem zrodzonym ze zrozumiałej u byłego leguna potrzeby afirmacji — bo Zygmunt Nowakowski sam był legionistą i opisuje to, co poznał od wewnątrz. może dlatego utwór ten do dziś działa bezbłędnie jako wyzwoliciel głęboko ukrytych sentymentów. Nie mam nic przeciw takiemu oddziaływaniu, ani, tym bardziej, przeciw wyzwalanym w ten sposób treściom — prosto z sanktuarium wspólnej naszej tradycji i chwały. Interesuje mnie przy tym mechanizm zjawiska. Im bowiem bardziej tępiono legionową tradycję — jej źródła, legendy, prawdy i pieśni — tym głębiej zapadała ona w naszą podświadomość. Tym bardziej stawała się nostalgiczna. Wystarczyło wydobyc ją z odosobnienia, by bez trudu otwierać dusze i serca, a czasem nawet wycisnąć trochę łez.

Bodaj pierwszy najgłębiej zrozumiał to Kantor tworząc muzykę do „Wielopola, Wielopola”, a potem do „Niech szczeną artyści”. Nie minęło wiele, gdy za nim poszli inni. Poszli, oczywiście nie „Wielopolem”, ale właśnie „Gałązką rozmarynu”. I trudno się dziwić skoro już przed

Fenomen i „Gałązka rozmarynu

wojną utwór ten był zawsze niezawodnym katalizatorem wzruszeń i nastrojów. Prapremiera odbyła się 9 listopada 1937 r. w Teatrze Polskim w Warszawie, a w sześć tygodni później wystawił ją Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie i „Gałązka” ruszyła szeroką falą. Wasz Obserwator, specjalnie dla potrzeb tego felietonu, oglądał ją osobiście we Lwowie w roku 1938 i już wówczas przedstawienie i utwór cieszyły się zasłużonym rozgłosem. Przez wiele miesięcy stanowiły „żelazną” pozycję lwowskiego teatru. Był to już w owych czasach utwór wyraźnie wspomnieniowy, a jak przystało na popularne przedstawienie legendy jeszcze sentymentalno-krotochwilny. O żywej akcji i dowcipnym dialogu — ogromnie podobny do radzieckiej romantyki rewolucyjnej, aplikowanej nam swego czasu aż w nadmiarze. Tyle, że, jak słusznie zauważył to już Stanisław Marczak-Oborski, a powtórzył Grzegorz Sinko, „tendencja rewolucyjna” tamtej dramaturgii została zastąpiona „polską legionową tradycją niepodległościową”.

A że tradycja ta żywa jest bardzo w każdym polskim sercu i pamięci, za Łodzią, Krakowem, Warszawą ruszają inni i lada miesiąc tuż po urlopiach, nowe, przystosowane do naszych potrzeb „Gałązki” pojawiają się dodatkowo w Katowicach i w Lublinie. Jak będą (i są) przystosowane? Jaką barwą malowane? W jakiej konwencji i stylu grane po latach? Jest to pytanie dla krytyki i niżej podpisany nie może jej w tym wyreczać. Tym bardziej, że z całego dookolnego urodzaju widział tylko realizację Gogolewskiego — już albo jeszcze nie zdążywszy na inne prezentacje. Gogolewski w każdym razie gra dziś „Gałązkę” wodewilowo. Sypie ostro rytmem i melodią, nie żałuje artystów, ni decybeli, ci zaś, to jest artyści, wypłacają mu się z nawiązką. Publiczność natomiast wali brawo za brawem — aż raduje się serce, raduje się dusza..

Publiczność jednak nie tylko wali brawo, ale gdy ze sceny padają mocno podawane strofy Roty (bo i coś takiego w Warszawie się słyszy), albo gdy ansambl śpiewa Marsz Pierwszej Brygady publiczność — tak, tak — powoli wstaje ze swoich miejsc! Wstaje jak do hymnu narodowego. Jak do ewangelii! Już nie bije brawa. Milczy. Robi się mimowolnie i śmieszno, i straszno, wodewil pierzcha bowiem przed ceremonią, śmieszność ustępuje wzniosłości i okazuje się nagle, że nieważny jest teatr, nieważny uśmiech i sentyment, wzruszenie i łezka. Nieważny wodewil ni komedia, wobec tej potrzeby mrocznej i głębokiej, tej chwili niespodziewanie poważnej i uroczystej, tego wzruszenia, które jako żywo nie jest już wzruszeniem, widza, łaską Melpomeny, ale czymś najgłębszym i może najbardziej serdecznym, powołanym do nagłego istnienia i domagającym się prezentacji.

Coś podobnego widziałem kiedyś w Teatrze Wielkim w Warszawie na występie świetnego ukraińskiego zespołu pieśni i tańca z Kijowa, gdy przy „Rewe ta stiozne Dnipr szirokij...”, parę osób spośród dwutysięcznej, nabitej widowni podniosło się i stało — do końca. Omawiam to dziwne zjawisko nie po to, by je wykpić — lecz by je opisać. Taki dziś pejzaż. Taka publiczność. Takie potrzeby.

Obserwator zaś, indywiduum uparte i jakby jednak słabo rozwinięte, mimo że przez pomyłkę usadzono go w pierwszym rzędzie, ani się ruszył. Wytrwał do końca, siedząc w wyzywającej w tej sytuacji pozycji. Wraz z nim uczyniły to w całym teatrze jeszcze dwie panie i jeden emeryt — doprawdy nie wiem z jakich pobudek. Ale gdy wychodziłem słyszałem wyraźnie komentarze wychodzących: „Niektórzy to, proszę ja pani, manifestacyjnie siedzieli”.

Może trzeba było wstać?